

Sławomir Tomasz Roch
rycerzniebieski@wp.pl

„[...] 31 sierpnia 1943 r. o godzinie 3.00 rano zaczęli Ukraińcy ogólne morderstwo po wszystkich wsiach i koloniach. Tak było zorganizowane, że każda wieś ukraińska ma swoich Polaków w tejże wsi, albo przyległej do tej wsi, kolonii wymordować. Nadmieniam, że takie ogólne morderstwa zaczęli Ukraińcy w swoje święta, a przed tymi morderstwami duchowieństwo ukraińskie – popi poświęcali ostre narzędzia – kosy, sierpy itp.. Szli chłopci i partyzanci ukraińscy uzbrojeni w najrozmaitszą broń: w siekiery, widły, kosy i karabiny. Nadmieniam, że siekiery były specjalnie wprawione na długich, nowych trzonkach, wpadali do polskich domów i zabijali wszystkich, bez wyjątku: mężczyzn, kobiety, starców, dzieci, odrąbywano nogi, ręce, dzieci rozdzielano, albo brano za nóżki i głową bito w ślupy. Przetrzęsano wszystkie zabudowania polskie – ogrody, wszelkie zakątki, odszukiwano ukrytych i mordowano. W innych miejscach znowu spędzano całymi rodzinami do wykopanych przedtem dołów i pomordowanych zakopywano. Za mordującymi chłopami szły kobiety i dzieci, podrostki z furami, pomagali wyszukiwać ukrytych i grabiąc, zabierali co się dało. [...]”. Z listu Bolesława Doleckiego ze Swojczowa

WSPOMNIENIA ZDZISŁAWA DOLECKIEGO ZE WSI SWOJCZÓW W POWIECIE WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA WOŁYNIU 1939 – 1947

Nazywam się Zdzisław Dolecki mam 85 lat i mieszkam w Gdańsku. Urodziłem się 25 grudnia 1918 r. we wsi Kohylno w leśniczówce, gm. Werba, pow. Włodzimierz Wołyński. Ojciec mój Antoni, był leśniczym, zmarł w roku 1926. Matka Feliksa z d. Lalkowska, zmuszona była po śmierci ojca, opuścić leśniczówkę i zamieszkać z młodszym rodzeństwem na kolonii Teresin, gm. Werba, pow. Włodzimierz Wołyński. Stało się tak bowiem rodzina moja była liczna: sześciu braci i trzy siostry. Niektórzy byli już poza domem, ale przy mamie pozostali jeszcze najmłodszy, w tym: brat Tadeusz, siostry: Kazimiera, Antonina, Felicja i ja najmłodszy Zdzisław. Ponieważ nie było komu pracować na roli, starszy brat Tedeusz nie chciał, a pozostali byli jeszcze dziećmi, zmuszona mama zamieniła się z pewnym znajomym, zwanym Brzezicki, na małą, kilkumorgową gospodarkę we wsi Swojczów, gm. Werba, pow. Włodzimierz Wołyński. Na tej gospodarce żyliśmy bardzo skromnie.

W Swojczowie rozpocząłem uczęszczać do szkoły powszechnej 7-klasowej. Swojczów to była niewielka wieś, lecz nieco o wyższej kulturze, niż inne pobliskie wsie. Posiadała kościół, posterunek policji, pocztę, łączność telefoniczną, dwie restauracje, kilka sklepików, straż pożarną wraz z remizą, 7-klasową szkołę, poza tym byli tam szewcy, kowal i inni rzemieślnicy. Wieś Swojczów posiadała również małe boisko sportowe. Aktywnie działały i dynamicznie rozwijały się organizacje, takie jak: harcerstwo, strzelcy, chór kościelny. W organizacjach tych brałem czynny udział, początkowo jako ministrant służyłem do mszy świętej, a potem należałem do chóru kościelnego.

Ze Swojczowem niemal stykały się, takie wsie jak: Wólka Swojczowska, gdzie mieszkali Ukraińcy oraz Wandy Wola i Boża Wola, gdzie przeważnie mieszkali Niemcy. Niemcy mieli swoją mleczarnię, a nasz organista uczył niemiecką orkiestrę. A zatem mieszkali i żyli tu razem, przez wiele dziesiątków lat w zgodzie: Polacy Ukraińcy, Niemcy i Żydzi. Żyliśmy we wspólnocie i nikt nikomu nie uprzykrzał na co dzień życia, dla przykładu w harcerstwie, była młodzież polska i ukraińska.

WOJNA OBNAŻYŁA UKRYTĄ WROGOŚĆ

Po ukończeniu szkoły powszechnej, postanowiłem pójść do czynnej służby wojskowej, jako ochotnik, by móc po jej ukończeniu otrzymać gdziekolwiek i jakkolwiek pracę. O zamiarze tym powiadomiłem swojego brata Stefana Doleckiego, który służył już w Wojskowej Żandarmerii w Warszawie. On to postarał

się, aby przydzielono mnie do wojska w Warszawie. Tak więc dnia 2 kwietnia 1937 r. zostałem powołany do 36 pułku piechoty Warszawa Praga. Miałem więc możliwość poznać dobrze Warszawę. Po kilku miesiącach oddelegowano mnie do dywizyjnej szkoły podoficerskiej w Radomiu. Służbę wojskową ukończyłem we wrześniu 1938 r. w stopniu kaprała. Po służbie czyniłem starania o pracę, ale bez skutku, powróciłem zatem do domu do Swojczowa, a brat Stefan dalej czynił starania o pracę dla mnie. Wreszcie w czerwcu 1939 r. otrzymałem pracę w Mołodecznie, w woj. Wileńskim, jako Strażnik Graniczny przy fortyfikacji granicy wschodniej. Niestety już 01 września wybuchła II wojna światowa. Zostałem zwolniony i już podczas bombardowania, powróciłem znów do rodzinnego domu, gdzie dowiedziałem się, że była już dla mnie karta powołania na wojnę.

Jako że obowiązywało mnie pospolite ruszenie, zgłosiłem się do 23 pułku piechoty we Włodzimierzu Wołyńskim, skąd zostałem oddelegowany do 50 pułku piechoty do Kowla. Tam rzekomo miał być stworzony drugi front. Tymczasem czekaliśmy na broń przeciwpancerną. Niemcy bombardowali nas w koszarach i cały Kowel, a szczególnie dworzec kolejowy. Myśmy czekali na broń, aż wojna się skończyła. Wyprowadzono wojsko poza miasto i tam powiedziano o zakończeniu wojny, a tymczasem całą kolumną ruszyliśmy do Rumunii.

Sowiecka armia już wkroczyła do Polski, a samoloty sowieckie latały na Kowlem i zrzucały ulotki nawołujące, by chłopcy i robotnicy wzięli kosy i siekiery i bili panów, ciemiężycieli. Widząc to wszystko, co się działo wokół nas, przeczuałem: „*Na pewno do Rumunii nie zdołamy się przedostać, no bo gdzie to Kowel, a gdzie Rumunia?*”. Opuściłem zatem kolumnę wojsk i pomaszerowałem pieszo do domu do Swojczowa.

W domu i w całym Swojczowie panował dziwny nastrój. Polskiej policji już nie było, za to powstała samozwańcza milicja, składająca się z szumowiny ukraińskiej. Członkowie tej milicji pozakładali sobie czerwone opaski na ramiona i sprawowali władzę. Zapanowała bieda. W sklepach nic nie było, ani soli, ani cukru, słowem nic. Przybył do Swojczowa jakiś typ, nazywał się Lichaczow, niby lekarz – felczer. Zajął mieszkanie byłego policjanta, Kubiaka. Mieszkanie to mocno dewastował. Wtedy zjawił się były policjant Kubiak, właściciel domu. Zwrócił mu uwagę, by tak nie niszczył jego nowego domu. Ten drań Lichaczow, natychmiast zgłosił to milicji. Przyszedł drab, olbrzymi chłop. Nazywał się Cebula. Zamknął Kubiaka w jego pokoju i straszliwie go katował. Słysząc było jęki, aż do sąsiedniego domu, gdzie nas grupa chłopców, to wszystko słuchała. Potem widzieliśmy, jak zbitego Kubiaka wrzucili na wóz i wywieźli do Włodzimerza Wołyńskiego do więzienia. I od tego dnia, wszelki słuch po nim zagaął.

Do tej samozwańczej milicji należeli: Cebula, Byczuk, Korczak, Semen Dubińczuk. Oni to władali wsią. Byli to rzekomo komuniści ukraińscy, a tak naprawdę byli to nacjonaliści ukraińscy. To byli właśnie ci, co później, gdy weszli Niemcy, mordowali bezlitośnie Polaków.

ZESŁANIE NA SYBERIE

Zanim jednak nacjonaliści ukraińscy dobrali się do Polaków, władze sowieckie, przy udziale miejscowych zdrajców ukraińskich, rozpoczęły wywózkę ludzi na straszną Syberię. W pierwszej kolejności wywożono: policjantów, wojskowych, urzędników, osadników, a w dalszej kolejności ich rodziny, w ten sposób skutecznie zdziesiątkowano polską elitę na Kresach. Podczas ciężkiej zimy 1940 r. Sowietci zesłali w Lasy Swierdłowskie za Uralem, naszego brata Zygmunta Doleckiego wraz z jego rodziną, który mieszkał we wsi Kohylno.

Wkrótce miała miejsce i moja podróż bez biletu na Syberię, podzieliłem los tysięcy wywiezionych polskich rodzin kresowych. W nocy z 23 na 24 sierpnia 1940 r. usłyszałem gwałtowne kołatanie do drzwi. Zapytałem zwyczajnie: „*Kto tam? – Otwórz to się przekonasz – brzmiała odpowiedź. To oni. – Wiadomo kto i po co. – Pomyślałem i otworzyłem drzwi.*”. Wtargnęli: oficer NKWD oraz samozwańczy sędzia (sędzia) z Gnojna również w mundurze NKWD, rozpoznał go bowiem brat Bolesław oraz żołdat z karabinem, a na nim bagnet. Dalsze zdarzenia potoczyły się wartko: „*Subirajtis z wieszczami. Pajediesz z nami!*” – brzmiała krótka komenda. Jedyne 20 minut na spakowanie swoich rzeczy. Nie było czasu na zastanawianie się. Chwytałem wszystko, co się dało, głównie odzież. Brata Bolka sparaliżował strach do tego stopnia, że nie mógł się nawet ubrać, poza tym był inwalidą jeszcze z czasów I wojny światowej. W tym czasie kiedy łomotali do drzwi, siostra Felicja zachowała przytomność umysłu i bez wahania nawiała przez okno.

Przypominam sobie, że gdy zabierałem rzeczy spiesząc się, oficer NKWD nic nie mówił, tylko rozglądał się po kątach. Tymczasem ten samozwańczy sędzia, Ukrainiec z Gnojna, popędzał mnie słowami: „*Po co to wszystko bierzesz? Pojedziesz niedaleko, a tam wszystko jest.*”. Natomiast ten **żołdat, który z karabinem pilnował mnie, gdy tylko znaleźliśmy się sam na sam, mówił do mnie cicho po rosyjsku: „Bierz wszystko. Tam nie ma nic. A jeśli ci teraz coś niepotrzebne, to sprzedasz komukolwiek. Bieri wsio.”. Najgorszy diabeł, był ten Ukrainiec z Gnojna.** W końcu co zdążyłem, zabrałem. Wsiadliśmy na wóz i odjazd. Muszę zaznaczyć, że w pokoju, po drugiej stronie domu, mieszkał mój brat Tadeusz Dolecki z żoną i dzieckiem. Jego również zabrali na drugim wozie, jako osobną rodzinę i zawieźli nas do Włodzimierza Wołyńskiego na stację kolejową. Tam już były podstawione wagony towarowe, do których ładowano ludzi. Istniał bałagan i zamieszanie. W czasie załadunku brat Bolesław Dolecki poprosił strażnika, by mu pozwolił przynieść wodę do wagonu. Gdy ten pozwolił, wziął wiadro, poszedł i już nie wrócił, udało mu się nawiać. Ja ze względu na mamę Feliksę uciec nie mogłem.

Do wagonu załadowano około 40 osób, w tym mnie z mamą i Tadzika z żoną i dzieckiem. Tak ładowano setki ludzi różnych narodowości, płci i wieku. Ciasnota, okna zakratowane, prowizoryczne nary do spania. Toaleta to było coś w rodzaju taboretu z otworem, z doprowadzonym przewodem do dziury w podłodze. Powodowało to, że panował smród oraz kolejka do tej wygodki. Po załadunku drzwi zamknięto. Siedzieliśmy stłoczeni, w mroku, na swoich tabołkach. Wreszcie pociąg ruszył. Kobiety i dzieci w płacz. Inni złorzeczyli, inni modlili się przy akompaniamencie płaczu dzieci. Jechaliśmy w kierunku Kowla, skąd przez Łuck, Równo do Kijowa. Z Kijowa przez Orzeł, Tułę, Kazań, Ufa do Czelabińska, już za Uralem. Z Czelabińska jechaliśmy na Magnitogorsk i stepem w kierunku Akmolińska. Wreszcie na jakimś przystanku w szczerym pustkowiu (stepie), pociąg stanął i kazali wysiadać.

Podróż trwała 29 dni. Byliśmy głodni, spragnieni, niesamowicie brudni i niemal wycieńczeni. W czasie podróży dwoje dzieci zmarło. Dwie zrozczone matki pochowały je w czasie przystanku przy torach, zagrzebując nieco ziemią. Po dłuższym oczekiwaniu przywlokły się wozy drabiniaste, ciągnięte przez woły. Zawieźli nas do kołchozu Orłowka, jako punktu zbornego, skąd na drugi dzień rozwieziono nas do rozległych sowchozów i kołchozów. Ja z moją mamą zostaliśmy przydzieleni do sowchozu w Jesielskim rejonie Akmolińskiej obłasci. **Na drugi dzień, gdy spałem pod gołym niebem, raniutko jeszcze śpiącego, jakiś mongol o mordzie buldoga, podszedł i trącając mnie nogą, wypędził głodnego do roboty.** O dalszym życiu w sowchozie nie piszę, gdyż ogólnie mówiąc, panowały tam okropne

warunki: praca, bród i głód, całkowity prymityw życiowy. Nie wytrzymała moja zrozpaczona mama, ciężkich warunków życia i zmarła nagle na serce 22 lutego 1941 r.. Została pochowana w szczerym stepie, ledwie przysypana ziemią, zamrożoną ze śniegiem, bez trumny, bez krzyża, po prostu jakby to nie był człowiek, ale jakieś tam zwierzę.

WYBAWIENIE Z SOWIECKIEGO RAJU

Po ogłoszeniu amnestji dla Polaków, w sierpniu 1941 r., wyjechałem do miasteczka Atbasar Akmolińskiej obłasci. W grudniu 1941 r. wyruszyłem z grupą Polaków do organizującego się w ZSRR w porozumieniu z rządem londyńskim Wojska Polskiego. Podróż była makabryczna, a przy tym zobaczyłem i sam przeżyłem, wiele okropności życia w raju sowieckim. Wreszcie w styczniu 1942 r. dotarłem do formującego się właśnie Wojska Polskiego w Tockoje, niedaleko od miejscowości Buzułuk w Kujbyszewskiej obłasci i dnia 14 stycznia 1942 r. zostałem wcielony do służby wojskowej.

W tych styczniowych dniach mrozy dochodziły, nawet do minus 56 stopni, a my po 18 osób spaliśmy pod wojskowymi namiotami. Dzieliliśmy się zatem po połowie i gdy pierwsi spali pod podwójnymi kocami, inni „*grzali się*” przy kopcącym piecyku, ulepionym z gliny, w którym tliło się mokre drzewo. Jak widać los nas nadal nie rozpieszczał, ale żyliśmy przynajmniej nadzieją, że lada dzień będzie lepiej wszak to przecie, już nasze polskie wojsko. Pożywienie to raz na dobę kasza jaglana na baranim tłuszczu, na wodzie gotowana i 250 gram chleba, mokrego jak glina, to wszystko i tylko to. Każdy nowoprzyjęty musiał przejść 2 tygodniową kwarantannę. Przydzielono i mnie, byłem brudny, zawszony. Jeszcze nie wyszedłem z kwarantanny, kiedy nasze całe wojsko przetransportowano na południe ZSRR w okolice Taszkientu i Samarkandy do miejscowości Guzar. Jadąc na południe, w naszej kwarantannie, poczęli niektórzy chorować na tyfus. Odczepiono nas od transportu. Podciągały nas tylko pociągi towarowe. Wlekleśmy się długo, przystając na bocznych torach. Kilku umarło. Wyrzuciliśmy więc trupy w nocy w biegu pociągu. **Brak żywności. Każdy na własny sposób żył z tego, co ukradł. Powstała sytuacja groźna, rozboje i rabunek. W takich warunkach, łatwo można poznać ludzkie charaktery, większość stała się wilkami.** Wreszcie w połowie lutego dotarliśmy do Guzaru, gdzie już był nasz transport na miejscu.

Zdrowych dołączono do wojska, chorych do szpitala na pole za rzeką, a niektórych zabrali żandarmi do aresztu. Rozmieściliśmy się na polach Guzaru obok rzeki. Nasze zajęcia w tych dniach to: kopanie ziemianek, wyczekiwanie na wciąż to samo jedzenie tj. rzadziutka kasza jaglana oraz wykłady i naturalnie bicie wesz. W końcu nadeszło angielskie umundurowanie. Starą odzież palono z obrzydzeniem na ognisku, moja koszula nie paliła się, lecz smarzyła, tyle było gnid i wesz. Niestety nie był to koniec, tej wielkiej dziejowej próby, która spadła na nas wszystkich, tamtej pamiętnej nocy, gdy załomotano do drzwi rodzinnych domów. Oto bowiem wkrótce **po przybyciu do Guzaru, zapanował tyfus, było ciepło. Wojsko masowo zaczęło chorować. Chorych odseparowano na drugą stronę rzeczki, to niby był szpital. Stamtąd mało kto wracał**, a dziennie wywożono furmankami, nawet do 30 zmarłych i chowano ich we wspólnym grobie. Dopiero po pewnym czasie nadeszły z Anglii szczepionki przeciw tyfusowe i inne. Zaczęły się masowe szczepienia, nikogo nie trzeba było do tego zapraszać.

Z końcem marca nagle pada rozkaz: przerwać kopanie ziemianek, zabierać wszystkie swoje rzeczy, zbiórka kompaniami i marsz na stacje kolejową. Załadowano do pociągu sprawnie i szybko. Pociąg ruszył tylko nie wiemy dokąd jedziemy.

Jechaliśmy przez Bucharę, Aszhabad do portu nad morzem Kaspijskim do Krasnowodska. Tam powiedziano nam, że opuszczamy raj sowiecki i jedziemy – płyniemy do Persji. W porcie wchodząc po dwóch po trapie na statek „Profinterm” NKWD dokładnie liczyli nas. Załadowano nas do granic możliwości. Były z nami i kobiety, które służyły w wojsku. Żywność na statku to suchary i słone śledzie. Woda do picia, to tylko ciepława z kotła. Ubikacja to dwa otwory w pokładzie obok siebie na środku pokładu, zasłonięte tylko na zewnątrz deskami. Można sobie wyobrazić, co się robiło.

RADOŚĆ BRACTWA NA PERSKIEJ ZIEMI

Dnia 30 marca 1942 r. wylądowaliśmy w Persji w małym porcie rybackim Pehlevi. Po wylądunku przemaszerowaliśmy przez miasteczko na drugą stronę miasta na plażę. Trudno sobie wyobrazić, a tym bardziej opisać, nie zapomnę tej chwili, jaka była radość. Wojsko – mężczyźni i kobiety płakali z radości. Ja również cieszyłem się z wolności, jednocześnie czułem ogromny żal, że zostawiłem mamę w tej nieludzkiej ziemi.

Miasto – Persowie witali nas, rzucali nam papierosy, owoce południowe, słodycze. Pełne sklepy, otwarte, różności do jedzenia i picia. Niektórzy klękali i całowali ziemię płacząc, ogromne wzuszenie – inny świat. Już na następny dzień wypłacono nam żołąd. Okazało się, że pieniądze są bardzo wartościowe. Bractwo kupowało obżerając się słodyczami i nie tylko tym. Poza tym co pewien czas podjeżdżały kuchnie wojskowe i wydawały obfity obiad oraz kawa, lub herbata z mlekiem – słodka. Ca za pyszności, niebo w gębie, jak mówiliśmy. Wielu było takich i ja też, że nie piliśmy od razu, lecz braliśmy do manierek, a piliśmy z manierki wtedy, jak podano drugi raz, a to z obawy, że mogą więcej nie dać.

Po dwóch dniach pada rozkaz: zabierać ze sobą wszystko! Przeprowadzono nas pod gmach, była to łaźnia. Następna komenda: rozbierać się do naga, zabrać ze sobą tylko pieniądze, obrączkę, zegarek itp.. Wszystka odzież, a nawet obuwie angielskie nowe zwalono na kupę, obłano benzyną i spalono. **My wychodząc z łaźni dostaliśmy wór, w którym było wszystko, od igły do koców włącznie. Co nie pasowało to zamiana między sobą. Wyszliśmy z łaźni na drugą stronę i już ani krok do tyłu.** Ostrzyżonych całkowicie, dobrze umytych, zaprowadzono na zupełnie inne miejsce. Tam zapowiedziano wyjazd samochodami przez wysokie góry, pouczono jak należy się zachowywać. Na drugi dzień załadowano nas na ciężarowe samochody, kierowane przez wyszkolonych Persów i wielką kolumną ruszyliśmy. Szalona jazda wysokimi górami Elbrus, okropne serpentyny. W głowie się mąciło, gdy się spojrzęło w dół. Jechaliśmy całą dobę.

Następnego dnia, tj. 04 kwietnia 1942 r., a była to Wielka Sobota, byliśmy w Teheranie. Rozlokowano nas w wielkich halach niemieckiej fabryki broni. Tam spędziliśmy Wielkanoc. Zarówno jak i w Pahlevi, tak i tu obok naszego obozu, zgromadził się wielki ruchomy bazar. Nie trzeba było iść do sklepów, wszystko można było kupić na tym bazarze. Zaraz po świętach odmarsz na stację kolejową i pociągiem, również wysokimi górami, pojechaliśmy nad Zatokę Perską do miasta Achwaz. Tam w specjalnym obozie odpoczywaliśmy, bez zajęć.

Obsługiwali nas żołnierze hindusi, którzy opiekowali się nami od chwili przyjazdu do Persji. Po dwutygodniowym odpoczynku załadowano nas na statek holenderski. Na statku pięknym i nadzwyczaj czystym, panowała ogromna dyscyplina i porządek. Płynęliśmy Zatoką Perską, morzem Arabskim, dookoła Półwyspu Arabskiego, przez cieśninę Adeńską, morzem Czerwonym do portu Suez. Następnie Kanałem Sueskim do miejsca przeładunku na pociągi i pociągami do Palestyny do jej

granicy. Tam przeładunek na autokary i do Palestyny, do sporządzonych tam wspaniałych obozów wojskowych. Były w nich sklepiki, łaźnie, kina i świetlice.

PALESTYNA - REORGANIZACJA WOJSKA NA STYL ANGIELSKI

Po przyjeździe zmiana umundurowania z zimowego na letnie szorty. Niesamowicie sprawna angielska organizacja. Transport, przeładunki z pociągu na statki, ze statku do pociągu, z pociągu do autobusów. Wszystko na czas, każdy na swoje miejsce, w czasie wyspany, nakarmiony, żołd wypłacony w odpowiedniej dla kraju walucie. Nikt się nie gubi, nie błądzi, nie ma przepychanek, bałaganu. Po przybyciu na miejsce jest przygotowana kuchnia, spanie, łaźnia oraz wszelkie informacje w kilku językach.

W Palestynie nastąpiła reorganizacja wojska na styl angielski. Połączono nas z Brygadą Karpacką, która walczyła w Afryce pod Tobrukiem. Wojsko wyszkolone i sprawne w boju. Ludzie na ogół pochodzący z inteligencji. **Zorganizowano z całości 3 Dywizję Strzelców Karpackich – 3DSK. Rozpoczęły się szkolenia oraz przydziały do różnych jednostek i broni.** Przydzielono do marynarki wojennej i do lotnictwa. Wielu szkoliło się na kierowców samochodowych, do broni pancernej, na sanitariuszy. Powstały różne szkoły i kursy. Wreszcie wydano nam broń angielską, rozpoczęły się ćwiczenia wojskowe, przeważnie w górach, jako że nasza górską dywizja. We wrześniu 1942 r. przerzucono naszą dywizję przez Kanał Sueski, morze Czerwone, cieśninę Adeńską, morze Arabskie, zatokę Perską Szat Al. Arab do portu Basra w Iraku. Z Basry pociągami w okolice Mosulu – północny Irak, blisko granicy tureckiej – Kaukazu, gdzie podążała armia niemiecka. Tam były prowadzone ciężkie ćwiczenia górskie.

Na wiosnę wycofano nas do środkowego Iraku, niemal że w pustynię. Panowały upały. Tam też **w czerwcu odwiedził nas naczelny wódz General Władysław Sikorski. Były pokazowe ćwiczenia, uroczystości, przemówienia i w końcu odjazd wodza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.** Po kilku dniach wstrząsająca wiadomość o śmierci Generała Sikorskiego. Nastąpiła w wojsku prawdziwa żałoba. Wódz był bowiem w wojsku bardzo lubiany. Wkrótce po tej tragedii wyjechaliśmy wielkimi kolumnami samochodowymi, lądem przez Transjordanie i przez rzekę Jordan, ponownie do Palestyny. Tam ponownie były kontynuowane różne szkoły i kursy. Poszedłem również do szkoły gimnazjalnej i liceum ogólnokształcącego, jako że nie ukończyłem przed wojną. Wprawdzie były przerwy w nauce w czasie przetrwania wojsk, jednak wciąż nauka trwała. Jesienią Wojsko Polskie zostało przerzucone do Egiptu, a następnie z końcem grudnia 1943 r. na teren działań wojennych do Włoch.

CHRZEST BOJOWY POD MONTE CASSINO

Po uzupełnieniu sprzętu wojskowego zajeliśmy, już w styczniu 1944 r. odcinek frontu pozycyjnego nad rzeką Sangro w południowych Włoszech. Było to w górach w czasie zimy 1944 r. więc zasypany śnieżne i zimno. Pod koniec marca wycofano nas do tyłu na odpoczynek. W pierwszych dniach maja przesunięto nasze oddziały, tuż za linią frontu pod Monte Cassino. Tam wyjaśniono nam i zapoznano o położeniu linii oporu wroga. Uprzedzono o mającej nastąpić ciężkiej walce oraz ważności jej zwycięstwa. Duch żołnierzy był wielki. Nareszcie nadszedł czas rozliczenia się ze śmiertelnym wrogiem. Podciągnęliśmy się na pozycję wyjściową. W nocy dnia 11 maja o godz. 23.00 rozpoczęła się potężna kanonada naszej i sprzymierzonej artylerii. Ruszyliśmy – pole, stoki gór, doliny, jary, wszystkie przejścia były zaminowane. Było ciemno, szliśmy ścieżkami wyznaczonymi białymi

taśmami przez saperów, objuczeni amunicją, wspinaliśmy się w górę i w górę. Siódme poty z nas wychodziły. Cały przebieg walki o wzgórze i Klasztor Monte Cassino, jest dokładnie opisany w książce Melchiora Wańkowicza pt.: „*Szkice spod Monte Cassino*”.

Po zdobyciu niemieckich pozycji i zajęciu wzgórza oraz ruin samego Klasztoru, polskie oddziały wycofano, a sojusznicze poszły naprzód. Polskie oddziały były mocno przetrzebione, a niektóre w ogóle przestały istnieć. Oprócz zabitych dużo było rannych. W czasie odpoczynku były uzupełniane i od nowa tworzone. Oddziały uzupełniano głównie Polakami z armii niemieckiej, uprzednio wziętych do niewoli. Po zagojeniu ran, zajęliśmy linię frontu od strony morza Adriatyckiego. Po tej linii oddziały nasze posuwały się bijąc, tu i ówdzie stawiającego opór wroga. Większe walki, były stoczone pod Ossimo, Loreto, Arcona i Rimini, już w północnych Włoszech. Tam wojsko nasze zostało zluźnione czasowo na odpoczynek i uzupełnienie.

W tym czasie, było to jesienią 1944 r., zostałem oddelegowany do szkoły, celem dalszej nauki i jej ukończenia. W dalszej walce udziału nie brałem. Wiosną 1945 r. oddziały nasze ruszyły po linii Rimini – Bolonia, którą zdobyli, tuż przed zakończeniem wojny. Będąc już w szkole, tam zastała nas radosna wiadomość – koniec wojny. Radość była powszechna, ale równocześnie nasuwały się trudne pytania – co teraz będzie z nami? Co my Polacy mamy teraz uczynić ze sobą? **Wiedzieliśmy, bo nas dokładnie informowano o sytuacji w Polsce. Wiedzieliśmy, że nas w Jaltie i w Poczdamie sojusznicy nasi sprzedali tyranowi z Moskwy. Polska wydana, rząd Polski złożony z komunistów i zdrajców narodu, podporządkowanym Moskwie.** Zatem nic dziwnego, że w naszych głowach mnożyły się dręczące, palące tęsknotą za rodziną i ojczyzną pytania: co robić? Czy wracać, czy zostać na tułaczce. Początkowo większość, niemal wszyscy, postanowili nie wracać.

SZYKANOWANY, DYSKRYMINOWANY, TRAKTOWANY GORZEJ....

Po ukończeniu szkoły średniej poszedłem do szkoły podchorążych na południu Włoch. Nie ukończyłem jej, ponieważ wszystkie szkoły zostały rozwiązane. Jesienią 1946 r. drogą lądową przez Austrię, Niemcy, Francję, przez Kanał La Manche, wyjazd Wojska Polskiego do Anglii. Tu rozmieszczono nas w obozach. Kto chciał, mógł się zapisać do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Będąc w nim mógł się zapisać na emigrację do Brytyjskich Dominów tj. do państw Wspólnoty Brytyjskiej. Na wiosnę 1947 r. zgłosiłem się na próbę do pracy w cywilu w budownictwie. Po paru miesiącach zrezygnowałem z pracy i zgłosiłem się na wyjazd do Polski.

Przeszliśmy przez trzy obozy repatriacyjne, gdzie wydano nam odzież cywilną, przy czym wojskową również można było sobie zachować. Poddano nas także przesłuchaniu, które prowadził Konsul Polski. Statkiem angielskim z portu Glasgow, przyплыliśmy do Gdyni dnia 16 grudnia 1947 r.. **Powracając do kraju, byłem przygotowany na to, że będzie bieda niemal na wzór sowiecki, bo to po wojnie i w znanym nam systemie. Nie przewidziałem jednak, że będę traktowany jako obywatel gorszej kategorii, szykanowany i dyskryminowany, czego skutki do dziś odczuwam.** Ponieważ nic nie wiedziałem o mojej rodzinie, która wojnę przeżywała w okupowanej Polsce, powróciłem z Anglii wraz z kolegą i zamieszkałem w jego domu w Tczewie na Pomorzu.

Po pewnym czasie odnalazła mnie moja siostra Kazimiera. Od niej dowiedziałem się wszystkiego o losie mojej pozostałej rodziny w kraju. Otóż brat

Zygmunt powrócił z Syberii i zamieszkał na wsi Stara Huta, koło Częstochowy. Brat Stefan powrócił z obozu niemieckiego Sztuthoff i zamieszkał w Wejherowie. Brat Bolesław, który podczas załadunku nas do wagonu na dworcu kolejowym we Włodzimierzu Wołyńskim przez Sowietów, zdołał nawiać, a który jest także naocznym świadkiem rzezi mieszkańców Swojczowa w sierpniu 1943 r., zolał uciec i banderowcom, ale został zabity przez Niemców w 1945 r. w miejscowości Urzędów, pow. Kraśnik, woj. Lubelskie. Brat Mieczysław, który służył w policji, zamieszkał po wojnie w miejscowości Telatyn, pow. Tomaszów Lubelski na Zamojszczyźnie. Siostra Kazimiera po wielkich perypetiach zamieszkała w Gdańsku.

Natomiast siostra Antonina, która podczas masowych mordów ukraińskich, została ostrzeżona przez ludzkie kobiety ukraińskie i zdołała uciec oprawcom z dwojgiem dzieci, przez pewien czas mieszkała we Włodzimierzu Wołyńskim, a po wojnie osiadła na stałe we wsi Horyszów Polski koło Zamościa. I najmłodsza siostra Felicja, która gdy Sowietci kołatali do drzwi naszego domu, by nas wywieźć wszystkich na Syberię, zdążyła uciec przez okno, została w sierpniu 1943 r. w okrutny sposób zamordowana przez Ukraińców w ukraińskiej wsi Gnojno, gm. Werba, pow. Włodzimerz Wołyński na Wołyniu. O powyższych, tak tragicznych losach naszej rodziny, pisał dość szczegółowo brat Bolek w liście do brata Stefana. Ksero tego listu do powyższych wspomnień dołączam.

SIERPNIOWA RZEŹ I ZAGŁADA WSI SWOJCZÓW

Brat mój Bolesław, opisał tę tragedię wówczas, gdy znajdował się we wsi Swojczów, gm. Werba, pow. Włodzimerz Wołyński. Kilka miesięcy później opisał bratu Stefanowi, mieszkającemu w Warszawie sytuację na Wołyniu.

Podaję również bliższe wyjaśnienia dla niektórych danych w treści listu, ponieważ wielu z pomordowanych osób, było mi dobrze znanych, koledzy, a nawet z mojej rodziny. Na przykład wymienione w liście: „*nasza Felusia*”, dotyczy mojej siostry Felicji Doleckiej ur. W 1916 r., następnie: „*nasz szwagier Adolek Buczek*”, dotyczy męża mojej siostry Antoniny Buczek, która jeszcze żyje, a obecnie zamieszkuje we wsi Horyszów Polski, niedaleko Zamościa. Następnie wymienione w liście zdanie: „*padają dwa strzały, zabili kobietę Dobrowolską Hannę z synem*”, ten syn to Feliks Dobrowolski ur. w 1924 r. mój młodszy kolega. W treści listu zdanie: „*Tośka przysła o dzień później*”, dotyczy wyżej wymienionej mojej siostry Antoniny Buczek. Tyle wyjaśnień, całą sytuację ukazuje list. Za popełnione błędy mego brata w pisowni przepraszam. Uczył się on tylko w szkole rosyjskiej przed pierwszą wojną światową”.

A zatem oto treść listu Bolesława Doleckiego do brata Stefana w Warszawie: „Kochany Stefcu! List od Ciebie otrzymałem, za który dziękuję. Teraz opiszę Ci swoje przejścia i wszystkich Polaków na Wołyniu. Począwszy od 01 kwietnia 1943 r. miejscowy posterunek policji ukraińskiej z posterunku Gnojno, gdzieś w nocy podział się. To samo było i z innymi posterunkami, wsie i kolonie zostały bez władz. Jak okazało się, policjanci z posterunku Gnojno znajdują się na wsi Wołczak pod lasem Świnarzyn, 6 km od wsi Gnojno. Na razie mamy spokój, każdy pracuje spokojnie, natomiast nocami po kilkanaście fur pełne chłopów ukraińskich uzbrojonych, jeżdżą wszystkimi drogami w różnym kierunku. W dzień cisza, nie ma nikogo. Po pewnym czasie uzbrojeni Ukraińcy, zaczynają w dzień śmieiej i wyraźniej pokazywać się, jeżdżąc furami i rowerami.

Zaczęły się po wsiach zebrania tajne ukraińskie, młodzież ukraińska wydobyła zachowaną broń, niektórzy poszli do swej tzw. partyzantki do wsi Wołczak, inni znowu byli w domu, ale też należeli do partyzantki i mieli łączność ze swym sztabem

tzw. „Sztab Zahonu Sicz”. Przez miesiąc kwiecień było spokojnie. Ludność nie odczuwała żadnych przykrości. A już w miesiącu maju, zaczęto dokonywać napadów na rodziny i pojedyncze osoby ludności polskiej. We wsi Chobułtowa wymordowana została rodzina składająca się ze służącej, parobka i 9 osób Willa Rudnickiego. W kolonii Smolarnia został zamordowany Józef Łuszczak, we wsi Łuczyce został zamordowany Stefan Bydychaj. Podobnie było w innych polskich wsiach. W rozmowie o tych napadach mówili Ukraińcy, że to są jakieś osobiste porachunki, takich zbrodniarzy, gdyby schwytano, będą karani śmiercią za śmierć.

Takie napady nocne na pojedyncze osoby, albo rodziny polskie, trwały przez miesiąc maj, czerwiec do 11 lipca 1943. Tego dnia jawnych morderstw dokonano w wielu miejscowościach na ludności polskiej. **Wieś polska Dominopol pod lasem Świnarzyn w nocy została okrażona przez partyzantów ukraińskich i ludność, teje wsi wymordowana została doszczętnie, zaledwie 3 osoby ocalało, które cudem zdążyły wymknąć się: jedna dziewczyna i dwóch chłopców, dziewczyna została pokaleczona.** W sąsiedniej parafii Kisielin został napadnięty kościół w czasie nabożeństwa przez Ukraińców. Ludność mordowano, ksiądz został ranny (ks. Kowalski). W drugiej parafii Chrynów, też było podobnie: ludność mordowano, ksiądz został zabity, nazwiska księdza nie znam (ks. Jan Kotwicki), organista uciekł, rozmawiałem z nim we Włodzimierzu Wołyńskim (org. Martyński). W wielu innych wsiach i koloniach polskich, ludność polską wymordowano, niektóre kolonie podają: Rudnia, Jachimówka, Smołowa, Nowojanka, Zofijówka, wieś Zamlicze, Sielec i wiele innych.

Nadmieniam, że u nas w pobliżu została wymordowana tylko wieś Dominopol. Te kolonie, które podałem, są oddalone, jak również i kościoły o kilkanaście kilometrów, o nich myśmy się dowiedzieli później. W tym czasie, gdy w nocy wymordowali Dominopol, w dzień zabrali chłopców, najbliższych moich sąsiadów, których nazwiska podaje: Leon Mierzejewski, Zygmunt Rak, Władysław Bydychaj, Hipolit Majewski, Eugeniusz Buczko, wszyscy ze Swojczowa, którzy zostali zabrani przez ukraińskich banderowców i pomordowani. W innych koloniach i wioskach, też zabierano chłopców polskich i mordowano.

Okres od 13 lipca 1943 r. do 19 września 1943 r.: powstał popłoch wśród Polaków. Ludność polska rzucała swoje siedziby i uciekała do Włodzimierza. Nasz ksiądz ze Swojczowa, też uciekł do Włodzimierza. Nocami nie spaliliśmy w domach, szliśmy kryjąc się po zbożach, kopcach, tak spędzano noce. Widzą to Ukraińcy, że ludność polska ucieka, roztawili uzbrojone stráže partyzantów swoich i zawracali uciekających Polaków do domu. **Żeby ludność polską uspokoić, sztab partyzancki wypuścił ulotki, uspokajające z rozmaitymi przyrzeczeniami. Co do Dominopola, to przyznawali się do winy, że źle zrobili, ale pisali, że były w tym inne czynniki, które wkrótce wyjaśnione będą, a ci którzy uciekają, będą uważani za wrogów i kara ich nie minie, bo prędzej, czy później Włodzimierz, będzie przez nas zdobyty i uciekinierzy zostaną schwytani.**

A nasi sąsiedzi, znajomi partyzanci ukraińscy zaczęli nas, Polaków, omamiać. Mówili: „*Nie bójcie się, nic wam złego nie stanie się, do kogo tam pójdziecie do Włodzimierza? Tam będzie głód, z głodu poumieracie, ot, żniwo zbierajcie, zboże, nikt was nie będzie zabijał. Nie bierzcie tego pod uwagę, co się stało w Dominopolu. Tam każdy mieszkaniac przechowywał szpiega i ci szpiedzy napadali na nasz sztab, dużo naszych partyzantów pozabijali, więc pomściliśmy ich. A tych chłopców, których pozabierali, mówili nam Ukraińcy, że oni byli na liście, która dostała się do sztabu, jako polska organizacja, więc ich dlatego pozabierali, a kto nie winien, tego nie zabiorą, niech będzie spokojny. Wam tak nie będzie. W razie czego my was będziemy*

bronić, śpijcie w domach swoich, a jak już tak boicie się, to przychodźcie do mnie na noc”.

Tak przyrzekali sąsiedzi i znajomi ukraińcy, tak ludność polską okłamywali. Jednak w dalszym ciągu morderstwa nie ustawały. Zabierano chłopców i mężczyzn wojskowych do lasu i mordowano. Najbliższych sąsiadów podaje: Mirosław Zinkiewicz zamordowany z całą rodziną – matką, siostrą i bratańcem (4 osoby), Stanisław Skosolas, Antoni Hasiak, Antoni Bydychaj, Władysław Wawrzynowicz, Eugeniusz Hypś. Ci wszyscy zabrani zostali do lasu przez partyzantów ukraińskich i pomordowani.

Jak mówiliśmy to naszym sąsiadom i znajomym partyzantom ukraińskim, że pomimo to, że przyrzekaliście, że nie będziecie ludności polskiej więcej mordować, jednak w dalszym ciągu to samo powtarza się, to nam odpowiedzieli Ukraińcy, że u tego znaleźli karabin, u tamtego rewolwer, a tamci znowu mieli maszynowy karabin itd. Polacy zaczęli w dalszym ciągu uciekać nocami, przekradając się przez pola, łąki. Wtedy Ukraińcy, jak kogo z uciekających złapali, zabierali do lasu do sztabu i zabijali. W tym czasie i nasza Felusia (Felicja Dolecka, ur. w 1916 r.) przedostawała się do Włodzimierza. Naprzykrzyło się jej to ciągle nocowanie po zbożach i kopcach, drzemanie w ciągłym niepokoju. Została zabita przez Ukraińców dnia 27 sierpnia 1943 r. we wsi Gnojno.

Dnia 30 sierpnia 1943 r. hołowa hromady (sołtys) wyznaczył ośmiu Polaków na przymusową robotę. Wzięli tych ośmiu Polaków uzbrojeni partyzanci ukraińscy do lasu Kohylno, gdzie poprzednio były łagry sowieckie, powrzucałi do studni żywcem i rzucano na nich granat. Między tymi ośmioma pomordowanymi, był i nasz szwagier Adolek Buczek. Podaję nazwiska wszystkich pomordowanych: Antoni Stelmach, Adolf Gaczyński, Stanisław Michalak, Andrzej Kaczkowski, Józef Bydychaj, Franciszek Zwolanin, Walenty Wesołowski.

31 sierpnia 1943 r. o godzinie 3.00 rano zaczęli Ukraińcy ogólne morderstwo po wszystkich wsiach i koloniach. Tak było zorganizowane, że każda wieś ukraińska ma swoich Polaków w tejże wsi, albo przyległej do tej wsi, kolonii wymordować. Nadmieniam, że **takie ogólne morderstwa zaczęli Ukraińcy w swoje święta, a przed tymi morderstwami duchowieństwo ukraińskie – popi poświęcali ostre narzędzia – kosy, sierpy itp.. Szli chłopci i partyzanci ukraińscy uzbrojeni w najrozmaitszą broń: w siekiery, widły, kosy i karabiny.** Nadmieniam, że siekiery były specjalnie wprawione na długich, nowych trzonkach, wpadali do polskich domów i zabijali wszystkich, bez wyjątku: mężczyzn, kobiety, starców, dzieci, odrąbywano nogi, ręce, dzieci rozdzielano, albo brano za nóżki i głowę bito w słupy. Przetrasano wszystkie zabudowania polskie – ogrody, wszelkie zakątki, odszukiwano ukrytych i mordowano. W innych miejscach znowu spędzano całymi rodzinami do wykopanych przedtem dołów i pomordowanych zakopywano. **Za mordującymi chłopami szły kobiety i dzieci, podrostki z furami, pomagali wyszukiwać ukrytych i grabiąc, zabierali, co się dało.**

Ja dowiedziałem się, że mordują, więc uciekłem na cmentarz. Wylazłem na gęsty świerk i siedziałem cały dzień do nocy. Widziałem, jak chłopci ukraińscy i partyzanci obławą chodzili, przeszukując zabudowania, ogrody, kopki na polach, szukając ukrytych, za uciekającymi strzelali, na koniach dopędzali i zabijali. Po domach już pomordowanych zabierali świnie, kury, plądrowali i przeszukiwali. Godzina mniej więcej 10.00, przychodzi obława na cmentarz. Czterech z karabinami i siedmiu ze szpadlami. Karabiny w ręku na pogotowiu, przychodzą bliżej mego świerku. Poznaje – znajomi chłopci ze Swojczowa: Torczyło Tymofiej, Wołodka Dubieńczuk i inni. Siedząc na świerku widziałem, jak tu przychodziły znajome mi

osoby i poukrywały się w zaroślach cmentarza. Padają dwa strzały: zabili kobietę, Dobrowolską Hannę z synem ze wsi Swojczowa. Przeszukują krzaki, drugi raz przeszli pod moim świerkiem, na którym siedziałem. Nareszcie słyszę krzyczącą: „Wylaż! Wylaż!!”. Znaleźli kobietę z córką, Marię Karandową. Kobieta prosi: „*Panie Torczyło niech pan nas nie bije!*”. Słyszę odpowiedź: „*Teper ne ma Torczyło. Wylaż!*”. Słyszę jęk kobiety, pada dwa strzały, cisza. Zostali pobici. Szukają dalej, przegartują krzaki. Znowu dwa strzały. Zabili 14 - letnią Potocką, córkę Jana i 15 – letnią Marię Sobiepan, córkę Stanisława. Szukają dalej. Zajrzeli do kapliczki cmentarnej, do grobowca. Nie ma nikogo. Jedni odchodzą, kilku zostaje. Odchodzący Torczyło rozkazuje: „*Zakopujcie hłuboko, szc zob ne smerdilo*”. Ci pozostali wykopali w dwóch miejscach doły, zakopali pomordowanych i poszli.

Siedzę na świerku i czekam niecierpliwie do nocy. Już słońce nad zachodem, obławy, poszukiwania, grabieże nie ustają. Słyszę krzyki, gonitwa: „*Trzymaj! Trzymaj! Stój! Stój!*”. Widzę uciekającego mego sąsiada Jana Rak, wystrzelili za nim dwa razy, nie trafili, ucieka, chłop wyprzęga z wozu konia, goni konno. Ucieka Rak wprost na mnie do cmentarza. Myślę sobie: „*Masz licha naprowadził mi znowu grandę!*”. Uciekający Jan Rak ucieka poza cmentarzem, zginął mi z oczu poza drzewami cmentarza. Chłopi szukają, nie znaleźli, ściemnia się, chłopci poszli. Zrobiła się noc. Zlazłem ze świerka, polami dostałem się do krzaków wyrąbanego lasu. W krzakach błądziłem całą noc, rano łąkami, łozami przedzierałem się. Spotkałem się z takimi, jak ja uciekinierami: ojciec z dwojgiem dzieci, Kosiorek z Kolonii Elizawietpola, żona i starsza córka zostały zabite, on z dwojgiem dzieci ukrył się w prosie i ocaleli.

Opowiadał mi on, że jego sąsiada, Aleksandra Żurawskiego córeczka mocno pokaleczona, którą prowadził, nie mogła iść, więc musiał zostawić ją pod kopką. A jej rodzice zostali pomordowani. I opowiadał mi ten Kosiorek, że przechodził przez kolonię Teresin, przez podwórko, widział zamordowanego gospodarza Mikołaja Bojko, leżącego na podwórku, któremu oczy ptaki powydlubywały. Po drodze spotkaliśmy się jeszcze z dwoma uciekinierami. Każdy opowiada swoje i tak razem przyszliśmy do wsi Chobułtowo, gdzie stała nasza polska placówka policji, złożona z poprzednich uciekinierów polskich. Dużo znajomych chłopców, **rozmawiamy o tych morderstwach ludności polskiej przez Ukraińców, policjanci westchnęli, mówią: „Wiedzieliśmy o tym, że Was mordują Ukraińcy, bo jeszcze wczoraj nam dali znać.”. Pytam: „Czemuście nie przyszli nam z pomocą?”. Odpowiadają: „Cóż kiedy nie ma rozkazu”.**

Nadmieniam, że takie placówki polskiej policji zorganizowane z uciekinierów polskich składały się z 50, 70 i 100 ludzi, zależy na jakim posterunku mniej zagrożonym, albo więcej, posiadały karabiny ręczne i maszynowe i jedną tankietkę. Tu już nam niebezpieczeństwo nie groziło, poszliśmy swobodnie do Włodzimierza. Do Włodzimierza nadciągali rozmaici uciekinierzy, jedna osoba z rodziny, dwie, albo trzy osoby, jak popadło, szły matki z dziećmi sierotami, ojca im zamordowano, niosące dziecko na rękę, starsze dzieci szły za matką w jednych sukieneczkach, bosy, wymoczone po rosie i rudawinie po pas, zmarznięte, wygłodzone. Dużo takich rodzin, że wszyscy zostali zamordowani, jak nasz stryjeczny brat, Józef Dolecki: wszyscy zostali zamordowani: on, żona i dwoje dzieci, teść i teściowa. Tak uciekinierzy nadciągali przez miesiąc czasu, kryjąc się po lasach, żywiąc się pieczonymi kartoflami, obrośnięci, wychudzeni.

Tośka (Antonina Buczek) przyszła o dzień później ode mnie z dwojgiem dzieci, 3-letnią Marysią i 5-letnią Lusią. Jedną niosła na rękę, drugą za rączkę prowadziła w jednych sukieneczkach. Nocowali w krzakach dwie noce, za okrycie

mieli jedną kapę z łózka, a za żywność parę pierogów, tylko tyle zdążyła wziąć, bo w sąsiednich domach, już mordowali. Tak szła z tymi dziećmi przez krzaki, łąki, oczerety, obmaczały się w wodzie i błocie. Na posterunku w Chobułtowie dano jej i dzieciom jeść i furę do Włodzimierza.

Zapytujesz kto tymi mordercami był, czy miejscowi Ukraińcy, czy obywatele polscy, chociaż z listu zrozumiesz, ale **jeszcze Ci nadmienię, że ci mordercy, to byli nasi najbliżsi sąsiedzi, z którymi my, Polacy na Wołyniu, byliśmy zżyci, jedni drugich zapraszali w gościny, na wesela, chrzciny, na zabawy, razem bawiliśmy się, do szkoły chodzili**, żenili się Polak z Ukrainką, Ukrainiec z Polką, a teraz takie małżeństwa musiały się wymordować, albo uciekać. Nawet u nas w Swojczowie było takie małżeństwo, Ukrainiec, niejaki Głębiński przyjął wiarę rzymsko-katolicką, ożenił się z Polką, teraz zamordował swoich teściów Wernerów, a żonę i dwoje dzieci kazał swoim kolegom zamordować.

Kościół w Swojczowie Ukraińcy zniszczyli, do środka nanieśli słomy i podpalili, a mury kościelne minami rozrywali, cmentarz (mogiłki) rozgrodzili, krzyże powyrywali, popalili, pomniki porozbijali, kapliczkę cmentarną zaminowali. Domy i zagrody polskie popalili, słowem zacierają ślady Polaków na Wołyniu. To działo się na całym obszarze Kresów Polskich, gdzie tylko zamieszkiwali Ukraińcy do granicy polsko-sowieckiej.

Mieszkaliśmy od 19 września we Włodzimierzu, jak i wielu innych Polaków uciekinierów. Dnia 23 lutego 1944 r. wyjechaliśmy do Zamościa, bo na przedmieściach Włodzimierza, zaczęły się napady i morderstwa i palenie domów polskich przez Ukraińców. A bandyci, ci co mordowali Polaków po wsiach, sankowali się po Włodzimierzu. Sam osobiście spotkałem najgorszego mordercę Stolaruka Stepana z Wólki Swojczowskiej, który jeździł z dwoma swoimi kolegami po Włodzimierzu, jeszcze mi się uklonił”.

I tak oto kończą się piękne i niezwykle cenne wspomnienia pana Zdzisława Doleckiego, który pisał do mnie w liście 03 lipca 2004 r. z Gdańska tymi słowami: „Szanowny Panie Sławomirze. Pańskie pismo przewodnie, ksero dyplomu, wspomnienia Antoniego Sienkiewicza otrzymałem, za które serdecznie dziękuję. W załączniku **przesyłam swoje wspomnienia z Wołynia oraz ksero listu pisanego przez mojego brata Bolesława do brata Stefana, w którym jako naoczny świadek opisuje o morderstwach ukraińskich na Polakach na Wołyniu w 1943 r..** Wspomnienia swoje opisuję w wielkim skrócie. Gdybym pisał szczegółowo, to byłaby to książka, biografia mojego życia. Piszę w miarę moich możliwości, ponieważ mój wiek „85 lat” sprawia trudności w pisaniu i nie tylko. Pan wybaczy, że nie jest to tak pięknie napisane, jak pan to potrafi. Z Poważaniem Zdzisław Dolecki”.

Zdzisław Dolecki

ECH DOLA NASZA DOLA, KRESOWIAN DOLA

Służba prawdzie jest najpiękniejszym, ale zarazem najtrudniejszym wyzwaniem stawianym człowiekowi w każdym pokoleniu, w każdej kulturze i pod każdą szerokością geograficzną. Poczynając od Tego, który jest Pierwszy i Ostatni, Alfa i Omega Jezus Chrystus, który przyszedł na świat, aby dać świadectwo prawdzie, a skończywszy na tym najmniejszym, ostatnim, zdawać by się mogło, skazanym na zapomnienie. Służba to trudna, niebezpieczna i na tym świecie bardzo niewdzięczna, jednak w ostatecznym rozrachunku, zawsze chwalebna i na końcu zwycięska. Po temu w każdym czasie, narodzie i kulturze, Boża Opatrzność wybiera

sobie śmiazków, którzy gotowi są podolać, tak trudnym wyzwaniom, częstokroć narażając nawet własne życie.

To właśnie dzielne zastępy Męczenników, którzy dla miłości prawdy, bez wahania składają dar z samych siebie, gdyż tylko miłość może, tak przynaglać w tak wzniosłym, nieśmiertelnym powołaniu. I choć świat, wciąż „wrywa do przodu”, to w tej ludzkiej świadomości, nic się nie zmieniło i gdy jedni mogą i dziś pytać: „Prawda... Coż to jest prawda?”, Inni mogą wykrzyknąć: prawda to miłość i nasza dola, aż po ofiarę z samego siebie! Poniżej zestawilem trzy współczesne świadectwa, by ukazać niejako skromny rąbek, jak dziś Kresowianie muszą się zmagać, by obronić prawdę i pamięć o ludobójstwie na Wołyniu, Podolu, Polesiu i Pokuciu, podczas demonicznej II wojny światowej. Służba prawdzie, to po prostu wołanie, byś nie wahał się, ani przez chwilę, gdy w sercu, jeszcze dziś usłyszysz z mocą, to wdzięczne: pójdz za mną....

Cerkiew niegotowa do pojednania

„Trzeba zatem nazwać po imieniu zabójstwa - zabójstwami, tortury - torturami, bestialstwo - bestialstwem – mówił w Warszawie przed polskim Episkopatem, metropolita Lwowa obrządku rzymsko-katolickiego, Abp Mieczysław Mokrzycki.”

Właśnie o tej sprawie pisał 13 marca 2013 r. w Gazecie Polskiej Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski: „W jednym w ostatnich felietonów w *"GP"* wyraziłem nadzieję, że z okazji 70. rocznicy Krwawej Niedzieli, która była apogeum banderowskiego ludobójstwa na Kresach, Cerkiew greckokatolicka dokona historycznych kroków w kierunku pojednania. Podłożem tej nadziei była informacja o liście pasterskim, przygotowywanym wspólnie przez biskupów rzymsko- i greckokatolickich z Ukrainy. Na ten list czekały zarówno rodziny pomordowanych, jak i te środowiska ukraińskie, które na prawdzie o przeszłości, chcą budować swoją tożsamość narodową. Niestety, cała sprawa została storpedowana przez cerkiewnych hierarchów.

O fiasku tej inicjatywy poinformował abp Mieczysław Mokrzycki, metropolita łańciewski ze Lwowa, który 6 marca br. zabrał głos na zebraniu Episkopatu Polski w Warszawie. Jak wyjaśnił, biskupi greckokatolicy zaproponowali dwa projekty listu pasterskiego, w których jednak starannie ominęli sedno sprawy. Zamiast nazwać zło po imieniu oraz wskazać jego sprawców, użyli wielu eufemizmów i półprawd, a nawet przekłamań. Ludobójstwo dokonane na obywatelach II RP - Polakach, Żydach i Ormianach - nazwali *"bratobójstwem"*, imputując przy tym jednakową odpowiedzialność *"każdej ze stron"*. Co więcej, usprawiedliwiali sprawców, twierdząc, że *"tragedia wołyńska"* wynikła, cytując za KAI, ze *"wzajemnych krzywd Ukraińców i Polaków"*, które ją *"uwarunkowały"*. Samo wyrzynanie bezbronnej ludności cywilnej nazwano *"etniczną czystką, czyli przymusowym wysiedleniem ludności polskiej z Wołynia"*. Wielkie nieba!

W obu projektach nie ma oczywiście ani słowa o zbrodniarzach z UPA i SS Galizien. Nie ma też jakiegokolwiek skruchy czy żalu. Nie ma na dobrą sprawę niczego, co wypływałoby z ewangelicznego umiłowania prawdy, która prowadzi do pojednania i przebaczenia. Czyżby autorzy obu projektów, podlegający władzy biskupa Rzymu, chcieli się odciąć od zasad moralności katolickiej i szukali w ten sposób swojego miejsca poza Kościołem?

Gdyby ktoś chciał posłużyć się retoryką owych tekstów, to opisując np. zagładę getta warszawskiego w 1943 r., musiałby stwierdzić, że było to też *"bratobójstwo"*, które *"uwarunkowały wzajemne krzywdy Niemców i Żydów"*. Sam Holokaust musiałby nazwać *"etniczną czystką, czyli przymusowym wysiedleniu*

ludności żydowskiej do obozów koncentracyjnych". W podobny sposób można byłoby też opisać ludobójstwo Ormian w Turcji, zbrodnie dokonane w b. Jugosławii, Rwandzie czy Czeczenii. Taka postawa to miód na serca nacjonalistów z faszystowskiej partii Swoboda oraz zwolenników ideologii Hitlera i Stalina, a także wielu innych współczesnych pomyślników, np. z Korei Północnej czy Al-Kaidy.

Wobec takiej postawy biskupów unickich abp Mokrzycki słusznie uznał, że dalsze prace przy tworzeniu wspólnego przesłania nie mają sensu. Spytał także wprost: *"Jak można mówić o wysiedleniu, skoro według zgodnej opinii historyków obydwu krajów, na samym tylko Wołyniu zginęło wówczas ponad 60 tys. osób ludności cywilnej?"*. Następnie dodał, że odpowiedzialność za ludobójstwo ponoszą nie bezimienne masy, ale konkretni ludzie, którzy tworzyli ideologię nacjonalistyczną. Stwierdził bez ogródek: *"Ideologia ta bazowała na etyce neopogańskiej, zaprzeczającej idei chrześcijaństwa. (...) Trzeba zatem nazwać po imieniu zabójstwa - zabójstwami, tortury - torturami, bestialstwo - bestialstwem"*. Przypomniał także, że współpracujący z hitlerowcami Ukraińcy mordowali masowo nie tylko rzymskich katolików, ale także wyznawców judaizmu, którzy nie byli przeciwni powstaniu wolnej Ukrainy.

Zdaniem arcybiskupa nonsensem wydaje się proponowana przez Cerkiew formuła *"wybaczymy i prosimy o wybaczenie"*. *"Czy którakolwiek ze stron - sygnatariuszy listu ma moralne prawo do takiej deklaracji? Musi tu znaleźć się wyraźne słowo: przepraszamy i prosimy o wybaczenie"* - mówił.

Wypowiedzi abp. Mokrzyckiego zawierają wiele innych mocnych słów, do który jeszcze powrócę. Dzisiaj jedynie muszę ze smutkiem stwierdzić, że po raz kolejny okazało się, iż unicka struktura, ukształtowana sto lat temu przez abp. Andrzeja Szeptyckiego, wymaga radykalnej reformy. Będzie to jedno z tych trudnych zadań, z którymi będzie się musiał zmierzyć nowy papież."

Odnosząc się do powyższych, tak ważnych kwestii w jednym z komentarzy, 20 marca 2013 r. pisałem tak oto: *„Postawa Waszych Eksceleńcji z Cerkwi grekokatolickiej na Zachodniej Ukrainie w tej sprawie, przywodzi mi w pamięci dwa straszne obrazy. Pierwszy to słynny już list metropolity Andrzeja Szeptyckiego do wiernych z 1943 r., w którym zdołał wydusić z siebie słowa: "nie zabijaj", a koniecznie trzeba wyjaśnić, że działo się to, gdy mordy na niewinnej ludności polskiej trwały już i rosły na potęgę. Opieszałość metropolity Lwowa jest tu bezdyskusyjna, jego odpowiedzialność duchowa za ludobójstwo na Kresach także. Niech ma Bóg w opiece każdego, kto by temu przeczył, proszę czytać dokumenty, sprawozdania AK oraz relacje świadków, a potem wyrokować. Drugi straszny obraz, który przywodzi mi pamięć to państwo Krzyżaków. Właśnie ten Zakon NMP, który mieczem zawojował ziemię Prusów, a potem przez wieki gnębił Polaków, właśnie ten Zakon NMP, tak gorliwy, tak pobożny, jednak nieuczciwy, a w polityce bezwzględny, okrutny, zdradził w końcu Kościół katolicki i przeszedł na protestantyzm. Z Zakonu krzyżackiego zrobiły się nagle z dnia na dzień protestanckie Prusy Książęce. Za katolicką Cerkiew na Ukrainie trzeba się modlić, by fałszowanie prawdy nie stało celem i by polityka nie była w niej ważniejsza, niż głoszenie miłości Boga i człowieka, także Polaka."*

Jeszcze dosadniej wyraziłem się 31 marca 2013 r. pod artykułem: *„Po jakiej stronie stoi Michnik?"*, kiedy pisałem wprost: *„Pamięci o ludobójstwie musimy strzec zawsze, gdyż tylko prawda powiedziana z miłością jest drogą do zbawienia wiecznego. Jeśli o Nich zapomnę, Ty Boże na niebie zapomnij o mnie. Tak oto poznajemy, jak wielkim darem są Męczennicy Wołynia i Podola, Męczennicy Kresów. To właśnie Ich Męczeństwo obnaża i zdiera maski z takich krętaczy i właściwie podłych ludzi, jak Michnik i jemu podobni. To Krew Męczenników, która mocno woła*

z niezliczonych wołyńskich jam i podolskich studni, odsłania zaklamane oblicze Cerkwii grekokatolickiej, o zgrozo z jej biskupami i zwierzchnikiem Abp Szewczukiem. Jakże to poniża dziś nie tylko niewinne ofiary, przeważanie: starcy, kobiety i dzieci, ale także Kościół powszechny, jego powagę. To Męczennicy Kresów, już od dziesiątków lat ewangelizują nas wszystkich, zagrzewając do pamięci, do modlitwy za ofiary ludobójczej polityki OUN i zdziczałej w metodach zwalczania polskiej społeczności, nacjonalistycznej UPA. Trzeba to wykrzyzczyć: nie będzie pojednania dopóki okrutnym zbrodniarzom, zwyrodnialcom z OUN-UPA, będzie się stawiać pomniki, a dziesiątki tysięcy niewinnych ludzi, wciąż będzie czekać na prosty, drewniany krzyż na swojej, często zapomnianej mogile. Jeszcze jest szansa, jeszcze żyją świadkowie Abp Światosławie Szewczuk i redaktorze GW Adamie Michnik, jeszcze można wskazać te jamy i te studnie, ale nawet jeśli oni pomrą, o tym ludobójstwie kamienie wołać będą! Kresowianie bądźcie sobą, nie bójcie się, bądźcie wreszcie solidarni w walce ze złem.”

Nie o zemstę lecz o pamięć wołają ofiary

Pod takim tytułem pisał 02 kwietnia 2013 r. na b. pożytecznej stronie: www.wolyn.btx.pl pan Mirosław Majkowski, oto treść artykułu: „W ostatnim czasie przycichła nieco w kraju medialna burza w sprawie organizacji widowiska historyczno – teatralnego, czy jak kto woli rekonstrukcji „Wołyń 1943 – Nie o zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary”. Przycichła w Polsce lecz rozpędu zaczyna nabierać na Ukrainie, gdzie nawet były prezydent Ukrainy Leonid Kuczma potrafił ostatnio poświęcić swoją uwagę mojej skromnej osobie (jestem prawie zaszczycony) określając mnie jako radykała, któremu nie wolno pozwolić na realizację tego przedsięwzięcia. W podobnym tonie wypowiadał się wcześniej Piotr Tyma – Przewodniczący ZUWP. Obaj twierdzą, że poprzez realizację tego widowiska do głosu mogą dojść radykałowie po drugiej stronie granicy.

Jakby pewnie teraz siedzieli w domach i nic nie robili, a pomniki Bandery i Szuchewycza stawiają krasnoludki, a w marszach ku czci UPA uczestniczą marsjanie. Obaj sugerują Nam - Polakom, a wręcz narzucają w jaki sposób mamy podejść do obchodów i jak najlepiej mamy oddać hołd i cześć pomordowanym. Przypomnę tylko, że pan Tyma oficjalnie kwestionuje fakt ludobójstwa na Wołyniu dokonanego przez OUN - UPA na ludności polskiej, żydowskiej, ukraińskiej, czeskiej, ormiańskiej. Do powyższych wypowiedzi dołączyli nasi rodzimi opluwacze z Wprost (sekretarz redakcji!) oraz Gazety Wyborczej. Co ciekawe, żadne argumenty, tłumaczenia tego jak rekonstrukcja będzie przebiegała, że nie będzie cytowanych przez nich drastycznych scen itd. do nich nie trafiały. Było to jak tłumaczenie idiotcie, że piłka nie jest kwadratowa tylko okrągła. Ja tłumaczyłem, że jest okrągła, a oni pisali, że kwadratowa. Postanowiłem więc zmienić taktykę i w myśl zasady – nie dyskutuj z idiotą, bo najpierw sprowadzi Cię do swojego poziomu, a potem przebije doświadczeniem – nie tłumaczyć wszystkim naokoło jak widowisko będzie przebiegało tylko zaprosić 20 VII do Radymna, aby mogli przekonać się naocznie jakie to okropieństwa chcemy pokazywać.

Nie będę opisywał różnych rozmów, maili, rad, ostrzeżeń i propozycji rezygnacji z pomysłu realizacji widowiska, które sływały pod moim adresem w mniej lub bardziej obraźliwym tonie, bo niczemu to nie posłuży. Nie jestem żadnym ukraiñożercą, jak mi zasugerowano w jednym mailu, a wręcz przeciwnie. Nie robię tej rekonstrukcji na „zamówienie” polityczne jak sugerują mi panowie Tyma i Kuczma, a wręcz przeciwnie to oni upolityczniają tą sprawę i dobrze wiedzą w jaki sposób. Nie jestem członkiem żadnej partii politycznej, a jedynie komu służę to

Polsce. Pragnę tym widowiskiem oddać hołd i przywrócić pamięć o pomordowanej w jakże bestialski sposób ludności cywilnej, kobietom, dzieciom. Jeśli jednak według pana Kuczmy ja jestem radykałem to jak nazwie on swoich ziomków, członków partii Swoboda i bojówkarzy gloryfikujących zbrodniarzy z UPA? Jakim prawem panowie Kuczma i Tyma sugerują nam Polakom jak mamy oddawać hołd pomordowanym? Co mamy robić, a czego nie? Dla mnie to szczyt bezczelności, a powoływanie się przy tym na dobrosąsiedzkie stosunki jest, co najmniej niegodziwością.

Od momentu pierwszego ataku, paszkwilu w tygodniku Wprost poczułem, że nie jestem sam. Ludzie, którzy nigdy w życiu nie widzieli mnie na oczy stanęli za mną murem, wzięli w obronę, wspierali. Jakże wspaniale mieć świadomość, że ma się koło siebie armię ludzi mających kręgosłup, ludzi idących pod prąd politycznej poprawności, odważnych i prawych. Jakże wspaniale mieć świadomość, że oto ta inicjatywa jednoczy i determinuje różnych ludzi do wspólnej walki w obronie słusznej sprawy. Inicjatywa, która od samego początku spotkała się z olbrzymim zrozumieniem i poparciem większości Kresowian i osób związanych z działalnością na rzecz przywrócenia pamięci o pomordowanych. W chwilach największej nagonki wspomniane osoby były dla mnie jak i Burmistrza Radymna olbrzymim wsparciem podobnie jak członkowie naszego komitetu honorowego naszego przedsięwzięcia, którzy swoimi autorytetami stali się murem, o który mogę oprzeć się odpierając ataki mające na celu storpedowanie tej inicjatywy.

Olbrzymim wsparciem było dołączenie do grona organizatorów Prezydenta Stalowej Woli Andrzeja Szlęzaka, który dostrzegając medialną nagonkę, a widząc równocześnie słuszność idei w pełni nas poparł.

Z pełną odpowiedzialnością Drodzy Przyjaciele, zwracam się tutaj do wszystkich, z którymi jestem w kontakcie, którzy na portalu społecznościowym poparli nasz pomysł, że już uratowaliście naszą inicjatywę. Teraz wspólnie musimy iść dalej, by ją zrealizować, stąd prośba o wsparcie finansowe na cele statutowe PSRH X D.O.K. Ale 70-ta rocznica ludobójstwa, to nie tylko widowisko w Radymnie, to centralne obchody w Warszawie, to marsze pamięci, to palenie zniczy, to budowa pomnika to prelekcje i odczyty. We wszystkich tych wydarzeniach powinniśmy brać czynny udział, wspierać na miarę naszych możliwości i głośno mówić kto był katem, a kto ofiarą.

Środowisko Kresowe, podobnie jak i środowisko Sybiraków są środowiskami skupionymi w pewnych kręgach. W tych kręgach kultywuje się pamięć, pisze i czyta książki, publikacje, łatwe do kontrolowania z zewnątrz. W dobie dzisiejszego populizmu, konsumpcjonizmu, powolnego upadku edukacji historycznej ciężko jest przebić się do świadomości społeczeństwa z faktami, o których nakazuje się milczeć. Film o Wołyniu, który jest formą przekazu, mogącą trafić do młodych ludzi nie powstanie, gdyż „nie ma na to pieniędzy”. A może właśnie politycznego zapotrzebowania? Odnoszę wrażenie, że nasza inicjatywa stała się nagle pewnym niebezpieczeństwem, ponieważ wychodzimy z obrazem do szerszego grona odbiorców. Następuje wyłom i szansa przedostania się świadomości o dokonanych ludobójstwie poza cytowany wyżej zamknięty krąg. Odnoszę nieodparte wrażenie, że ktoś się tego bardzo przestraszył...”

Odnosząc z kolei do powyższych rozważań pana Mirosława w jednym z komentarzy 03 kwietnia 2013 r. pisałem tak oto: „*Wzywam publiczne b. prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmy, by nie dopuścić do realizacji rekonstrukcji wydarzeń na Wołyniu, które będzie miało miejsce 20 lipca 2013 r. w Radymnie jest klasycznym przykładem mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski. Całkowicie rozumiem oburzenie pana Majkowskiego i podzielam opinię, że jest niedopuszczalne, by*

Ukraińcy narzucali nam formę pamięci o naszych bliskich. Zaś w przypadku tak jaskrawym i tak drastycznym, jakim jest dokonane ludobójstwo na Kresach przez OUN-UPA na niewinnej ludności polskiej, takie działania ukraińskich oficjeli mają wszelkie znamiona mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski, a moralnie są wprost niegodziwe. Czy można sobie wyobrazić, że ktoś narzuca dla przykładu Żydom, Ich formę pamięci o Ich ofiarach w licznych miejscach kaźni, nota bene na Kresach także. Wzywam do odpowiedzialnej służby polskie władze, a nade wszystko polskie służby specjalne bowiem Kresowianie są obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej i mają wszelkie prawa do pamięci o okrutnie pomordowanych na Wołyniu. To jest wprost kuriozalna, nienormalna sytuacja jeśli we własnej ojczyźnie, obywatele nie znajdują oparcia we własnym prezydencie Komorowskim, a zarazem są b. ostro atakowani przez prezydenta Kuczmę. To jest skandaliczny i mocny znak słabości państwa, naszych władz. Nigdy nie popierałem UD z Mazowieckim, nigdy nie popierałem UW z Suchocką i jak od piekielnego ognia, zawsze stronię od PO z Tuskiem. I oto po latach i teraz też widzę, że całkiem słusznie.....”.

Hipnotyczna Ukraina

Pod tym jakże celnym i dużo mówiącym tytułem, korespondencję nadesłał i opublikował na stronie: www.isakowicz.pl, pan Eugeniusz Tuzow-Lubański, Kijów 2013-03-28, oto co tam czytamy: „Jeżeli w latach 90-tych XX wieku Polacy odbierali Ukraińców jako naród bardzo źle, na równi z Romami, to potem sytuacja w wyniku pro-ukraińskiej propagandy Adama Michnika i Jacka Kuronia poprawiła wizerunek Ukraińców na lepsze. Polacy zrozumieli, iż nie wszyscy Ukraińcy są rezunami banderowskimi i że z tym narodem da się nawiązać dobre relacje. Z kolei umiarkowany prezydent Ukrainy Leonid Kuczma, pochodzący z grupy czerwonych dyrektorów zbrojeniówki wschodniego Dniepropietrowska, był dobrze nastawiony do Polaków i prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, z którym wypił nie jedną butelkę koniaku „Hennessy”. Wszystko się we wzajemnych relacjach polsko-ukraińskich rozwijało się wtedy nie najgorzej.

Za rządów AWS Warszawa zawarła z Kijowem tysiące różnych umów, które nie zostały realizowane. Najważniejszym hasłem tego okresu w Polsce było hasło: „Bez niepodległej Ukrainy - nie ma niepodległej Polski!” Także przy byle jakiej okazji powtarzano zakłęcie, iż to Polska pierwsza uznała niepodległą Ukrainę. Ale w 2004 roku Ukraina weszła w okres „pomarańczowej rewolucji”, której przewodził otruty nie wiadomo czym Wiktor Juszczenko, ale praktycznym realizatorem planu rewolucyjnego była energiczna Julia Tymoszenko. Finanse lały się potokiem od władz USA i opozycjonisty rosyjskiego Borysa Berezowskiego, który niedawno zmarł w nieznanych do dziś okolicznościach.

Wówczas Polska była zahipnotyzowana pomarańczową barwą ukraińskiej rewolucji. Awanturnik Juszczenko, którego ojciec Andriej przysługiwał w niemieckich obozach koncentracyjnych esesmanom, stał się po trzeciej turze antykonstytucyjnych wyborów prezydentem Ukrainy i najlepszym przyjacielem prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Hipnoza ukraińska zaczęła działać prawie na wszystkich znanych polskich polityków. Zwłaszcza na młodego ministra obrony, a potem ministra MSZ RP Radosława Sikorskiego, którego jeszcze na emigracji nauczono lubić Ukrainę zawodowo.

Dlatego polska dyplomacja i ABW zamykały oczy na wszystkie akcje antypolskie pomarańczowego prezydenta Juszczenki. Także wypowiedzi probanderowskiej pomarańczowej premier Julii Tymoszenki, które pokazywały

zupelną nieznamość historii przez ukraińską „żelazną damę”, były słyszane w gabinetach establishmentu polskiego jako słodkie arie miłości do Polski i jej narodu.

Dlatego za milczącym wstawiennictwem polskich idiotów pożytecznych na Ukrainie rósł ruch neobanderowski i prezydent Wiktor Juszczenko, gdy kończył swoją kadencję odznaczył pośmiertnie najpierw atamana UPA Romana Szuchewycza, a potem watażkę OUN Stepana Banderę najwyższą nagrodą państwową - Orderem Bohatera Ukrainy. Polska cichutko i formalnie wtedy zaprotestowała, a Juszczenko pozostał nadal doktorem honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL). Inaczej niż działaniem ukraińskiej hipnozy wszystko to trudno wytłumaczyć.

Była nadzieja, że po tym, jak nowym prezydentem III RP został wybrany Bronisław Komorowski, sytuacja polityczna w relacjach obu krajów stanie się bardziej realistyczna. Była też nadzieja, że Polska zostanie wyleczona z neobanderowskiej hipnozy pod sztandarem czerwono-czarnym neonazistowskiej organizacji „Swoboda”, bo Juszczenko wypadł na margines z gry politycznej. Okazało się jednak, iż choroba nie poddaje się leczeniu, bo chorzy politycy znad Wisły uciekają od kuracji i nadal tkwią w swojej chorobie, określając ją jako *“ost real-politic”*.

Prezydent III RP Komorowski razem z ministrem spraw zagranicznych Sikorskim, tak jak i ich poprzednicy, widzą Ukrainę przez hipnotyczne okulary, a naród polski na ogół nie interesuje się polityką zagraniczną, dbając jedynie o przetrwanie w raju członkostwa unijnego.

I być może tę beznadziejną sytuację zmieniają obchody 70-lecia ludobójstwa OUN-UPA, dokonanego na narodzie polskim. Nadal jestem ostrożnym optymistą, nie patrzącym na życie przez różowe okulary poprawności politycznej, bo chcę być realistą.”.

W roku 70-tej rocznicy ludobójstwa dokonanego na Kresach nie sposób nie odnieść się do tak ważkich treści, poruszanych na forum publicznym, tym bardziej gdy strona ks Zaleskiego, zanotowała już ponad 8 mln odwiedzin, po temu 29 marca 2013 r. pisałem: *„Generalnie można się z tym wejrzeniem zgodzić, choć widzę w artykule plusy i minusy. Do pierwszych koniecznie trzeba zaliczyć zdrowe pozbawianie Polaków złudzeń bowiem współczesna Ukraina zdecydowanie odbiega od odczuć przeciętnego zjadacza chleba znad Wisły i Odry. Dziś to nie są już bezkresne dzikie pola, obsiane szlacheckimi zasiólkami, w których leje się miód, zajadają się mięsem, popychają słodkie korowaje i ochoczo śpiewają: "hej, hej sokoly....". Takie obrazy znajdziecie owszem, ale na kartach historii i dodam, że ostatnie takie zaścianki, banderowcy wyrąbali dosłownie siekierami w latach 1943-1944 na Wołyniu i Podolu. Zaś do minusów artykułu zaliczyłbym, porównanie Ukraińców do Romów, sądzę że tak raczej nie było, uważam że na Ukraińców większość patrzyła raczej w pryzmacie wschodu po prostu, jak na ruskich. I nota bene jest to zdecydowanie bliższe prawdy. Najbardziej jednak podoba mi się nadzieja autora, co do obudzenia polskiej opinii publicznej w kontekście 70-tej rocznicy ludobójstwa. Czas najwyższy, byśmy w końcu przejrzeni i budowali nasze kontakty z Ukrainą, także banderowską na realnych zasadach.”*

Natomiast w innym wpisie pt. *„Komorowski zlekceważył pamięć o pomordowanych Polakach”*, nie pozostawiłem suchej nitki na obecnym prezydencie, gdy 07 kwietnia pisałem na gorąco: *„Prezydent Bronisław Komorowski skompromitował się bez dwóch zdań. Zawsze postrzegałem go jako b. słabego prezydenta, który nadrabia minkami oraz przebiegłością, której mu nie brakuje. Dla Kresowian niestety ma to podwójnie pechowe konsekwencje. Raz ponieważ imię Komorowski do perfekcji oponował taktykę unikania trudnych problemów Polaków,*

po temu wciąż się pięknie uśmiecha i naturalnie szczytuje w sondażach. A dwa imć Komorowski jest niezwykle wolny i zanim cokolwiek powie, dwa razy pomyśli. Zatem "głęboko rozważył" i uznał, że w ostatecznym rozrachunku, dużo bardziej opłaca mu się schować głowę w piasek i udać, że o 70-tej rocznicy ludobójstwa na Wołyniu, wygodniej będzie poczytać, no może coś tam przy okazji napomknąć, niż podnosić larum. Wszak Kresowianie,a któż to jest, kto się z nimi liczy, a Ukraina to jest dopiero sztuka. Acha.... myśliwy już zwęszył swym przebiegłym nosem grubą zwierzynę, no to co mu tam tanim ptactwem głowę zawracacie! Naturalnie niemoralność takiego układu, jest tak odrażająca, że w uczciwym człowieku, budzi wprost odrazę, dlatego nie trzeba się dziwić, że ludzie spontanicznie reagują i postrzegają zamiary imć Komorowskiego, jako: hańbiące, żenujące, głęboko raniące żyjących Kresowian oraz wprost poniżające Tych którzy na Kresach, w tym na Wołyniu, pozostali już na wieczną wartę. Panie Komorowski zapytuję, jak pan stanie przed Grobem Nieznanego Żołnierza, wszak tysiące z Nich, to synowie kresowych rodów, byle nie było niezdrowej czkawki....”.

KRESY TO NASZA WSPÓLNA SPRAWA

Ponownie zbieramy podpisy za Dniem Pamięci Męczeństwa Kresowian! Pod takim tytułem opublikowano 10 kwietnia 2013 r. w Kresowym Serwisie Informacyjnym, b. ważny dla Kresowian dokument, w którym czytamy: „ 09 kwietnia 2013 ruszył zegar odmierzający 90 dni w czasie których powinniśmy zebrać minimum 100 tys. podpisów pod projektem Ustawy w sprawie ustanowienia 11 lipca jako Dnia Pamięci Męczeństwa Kresowian. Takie minimum nakłada na KIU Ustawa o Obywatelskich Inicjatywach ustawodawczych a tego "nie da się obejść". Żeby Sejm RP uchwalił ten dzień jeszcze przed 11 lipca, nową akcją zbierania podpisów najlepiej byłoby zakończyć po 30-40 dniach licząc od 9 kwietnia. Jak informuje Kancelaria Sejmu RP, po zebraniu podpisów należy zgłosić gotowość złożenia podpisanych list w Sejmie, po czym nastąpi oficjalne ich przyjęcie i po sprawdzeniu przez sejmowych prawników rozpocznie się procedowanie wniosku w Sejmie.

Jest to niestety kolejne 30 dni a więc czas nagli. Wasz dotychczasowy wysiłek podczas poprzedniej akcji zbierania podpisów nie zostanie zmarnowany, ponieważ mamy już ponad 40 tys. zebranych przez Was podpisów. Listy były wstępnie sprawdzone i posegregowane, jednak wiele przesyłek z listami nie posiada nadawcy jak też spora ich ilość jest nie jest podpisana przez zbierającego. Najlepiej w takiej sytuacji byłoby złożyć do Sejmu minimum 200 tys. podpisów a wtedy jeżeli nawet zakwestionowany zostanie co drugi podpis inicjatywa zakończy się sukcesem.

Doświadczenie pokazuje że jest to ciężkie i pracochłonne wyzwanie dla Kresowian jednak zważywszy na fakt, że Kresowian jest tylu ile numerów PESEL w Rzeczypospolitej nie jest to niemożliwe do wykonania zadanie. Poprzednia zbiórka podpisów odbywała się podczas niesprzyjającej dla tego typu akcji okresie (zima), która jak nigdy dała nam się we znaki. Obecna edycja zbierania podpisów odbędzie się w sprzyjających warunkach atmosferycznych a to tylko ułatwi.

Prosimy zatem wszystkich wolontariuszy i Kresowe Stowarzyszenia, żeby niezwłocznie załatwili sobie u proboszczów pozwolenie na wystawienie stolików na przykościelnych placach i tam po mszach dokonywali zbierania podpisów.

Stoliki wystawione na ulicach i placach miast nie wymagają zezwolenia. Wystarczy żeby zbierający podpisy wolontariusze posiadali na stoliku wydruk pisma zatwierdzonego przez Marszałek Kopacz w celu okazania go gminnym/miejskim władzom porządkowym oraz projekt Ustawy do okazania osobom składającym podpisy.

Dobrze byłoby zaprosić do uczestnictwa w akcji kombatantów zwłaszcza z kresowych struktur AK. Kresowi kombatanci z białą czerwoną opaską robią wrażenie a i chętnie porozmawiają z ludźmi chcącymi dowiedzieć się czegoś więcej o Kresach.

Wskazane też jest zawieszenie w miejscu zbierania podpisów plakatów nawiązujących do naszej akcji co spowoduje, że ludzie sami będą podchodzili do naszych stolików. Jeżeli plakaty sprawdzą się w Lublinie, Essen (Niemcy) czy w Warszawie to dlaczego nie miałyby się sprawdzić w innych miastach.

O sprawach aktualnych będziemy jak zwykle informować na: <http://11lipca1943.wolyn.org/> Na tej stronie są do pobrania wzory list do podpisu, projekt Ustawy i za dwa-trzy dni, jak dotrze poczta, pismo marsz. Ewy Kopacz.

Jeszcze tego samego dnia pisałem w godzinach wieczornych pod tym dokumentem: „Na ten komunikat czekałem od wielu tygodni, b. chciałem wiedzieć, jak wiele udało się zebrać podpisów dla tej, tak ważnej i potrzebnej Inicjatywy. Ponad 40 tyś. zebranych podpisów: serc wiernych, wielkich, zdolnych objąć czas, nieugiętych i w nadziei mocnych. Na ten czas to dużo, to b. dużo, zważywszy w walce z jakim potwornym zakłamaniem, przyszło nam się zmierzyć. Oto dziś zbrodniarzom stawia się zimne pomniki, oto dziś zwyrodnialców z OUN-UPA zowie się bohaterami. Nie znajdziesz prawdy na Zachodniej Ukrainie, nie znajdziesz i w Cerkwi grekokatolickiej, a kiedy jeszcze milczy twój prezydent i kraj milczy, to nie dziw się sobie, że samotność cię trawi, że prawie twoje serce ból przeszywa i dławi. Wtedy lęk Cię ogarnia, niemoc u drzwi Twoich już stoi i mocno kołata, lecz Ty męstwa zawezwij, tu o pamięć idzie i o życie wieczne Twego brata. On też samotny, już 70 lat w tej studni czeka, bym ja i Ty, byśmy dziś raz jeszcze dostrzegli w nim człowieka. Ducha zatem nie gaś, raczej nad padołem łez niech wzłata, niesiony wysoko na skrzydły Męczenników Kresów. I przyjdzie ten dzień 11 lipca, który zajaśnieje nam wszystkim, jak ranna rosa i zorza i będzie radość, a dla świata wieczna poświta.”

ZIARNKO DO ZIARNKA I ZBIERZE SIĘ MIARKA

Pewne partie powyższych wspomnień, a konkretnie list Bolesława Doleckiego do brata Stefana, został spisany już w roku 2004, aby rok później stanowiąc, ważny rozdział książki: „*Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia*”, której drugą wersję ukończyłem w maju 2005 r. w Zamościu. Egzemplarze książki przelałem do kilku ważnych archiwów w Polsce, w tym na Jasną Górę w Częstochowie oraz na Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie (na KUL w 2009 r., jako mój protest przeciwko nadaniu prezydentowi Ukrainy Wiktorowi Juszczenko tytułu doktora h. c.).

Zaś osobiste wspomnienia pana Zdzisława Doleckiego, przesłane na mój adres w Zamościu w liście z Gdańska, tak bogate i cenne, opracowane zostały po dziewięciu latach. W międzyczasie, gdy latem 2009 r. organizując mój urlop wakacyjny, szedłem się odwiedzić kilku świadków, kilku żyjących Kresowian na Pomorzu, przypomniałem sobie właśnie pana Zdzisława z Gdańska i odnalazłem jego pocztę do mnie. Przeczytałem raz jeszcze wspomnienia, były b. interesujące, zadzwoniłem zatem na jego nr domowy tel., mając nadzieję na nasze spotkanie. Odebrała żona, która w b. uprzejmych słowach, poinformowała mnie, że mąż niestety, już odszedł na tamtą stronę rzeki życia.

Dzwoniłem, ponieważ miałem nadzieję, że zadam jeszcze kilka ważnych, bardziej szczegółowych pytań, tym bardziej jednak doceniłem teraz wspomnienia i korespondencję, które pan Zdzisław ukończył i przelał, jeszcze 03 lipca roku 2004. Pamiętam jak dziś, gdy w godzinach nocnych lądowałem na lotnisku w Gdańsku, a

potem już nad ranem 24 lipca 2009 r. w pociągu relacji Gdańsk-Olsztyn, jechałem, by odwiedzić panią Jadwigę Grusiewicz w Mrągowie, również Sybiraczkę. Pamiętam jak rozmyślałem właśnie o panu Zdzisławie, o jego losach, żałowałem że nie mogłem się z nim spotkać osobiście, z wielkim szacunkiem uścisnąć mu dłoń i popatrzeć raz jeszcze na tego dzielnego Polaka i b. mieszkańca Swojczowa na Wołyniu. Dziś z wielką satysfakcją publikuję, te piękne wspomnienia, gdyż ludzie takiego formatu, jak pan Zdzisław zasługują na pamięć w naszym narodzie, także w następnych pokoleniach.

Pozostaje w kontakcie z wieloma osobami z Polski, które wciąż nadsyłają swoje relacje i uzupełniają ważne informacje o losach swoich najbliższych, na których wspomnienia natrafili w internecie. Osoby te mając dostęp do nowych, nieznanych mi jeszcze faktów, nadsyłają bardzo cenne materiały, które ja uważnie zamieszczam w książce. I tak, z Bożą pomocą, wciąż rozrasta się, bezcenna praca: „*Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia*”, o losach byłych mieszkańców katolickiej parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Swojczowie.

Powyższe wspomnienia pana Zdzisława Doleckiego zostały opracowane na użytek internetu. Zdaję sobie sprawę, że i to opracowanie nie jest jeszcze w pełni profesjonalne, ale na pewno bardziej dostępne dla potencjalnego czytelnika, a przez to więcej użyteczne. Pragnę w ten sposób gorąco zachęcić wszystkich, żyjących jeszcze parafian ze Swojczowa i okolic, ale nie tylko, także z całego Wołynia i Kresów do spisania swoich wspomnień, przeżyć i doświadczeń z tamtych jakże pięknych, a potem jakże dramatycznych lat. Raz dlatego, by dziedzictwo i ciężka praca naszych przodków, nigdy nie była puszczona w niepamięć, a dwa by Ci wszyscy, którzy pozostali tam już na zawsze, w końcu doczekali się choćby, prostego krzyża katolickiego na swojej, często zapomnianej, już dziś mogile.

Mgr historii
Sławomir Tomasz Roch